

ROMANS I POWIEŚĆ

Tygodnik, poświęcony literaturze nadobnej
i wiadomościom literackim.

Rok VI.

Warszawa, dnia 30 Maja 1914 roku

№ 22.

Andrzej Strug.

„Pieniądz”

Wszelkie prawa autor-
skie i wydawców za-
strzeżone.

Powieść z obcego życia.

21

Posypały się, jak mak, kolosalne cyfry. Dowóz, wywóz, przewóz, drogi morskie, przewroty, kataklizmy... Dr. Hebrard sypał prorocztwami, a każde oparte było na cyfrach, cyfrach, cyfrach... Pamiętał każdy parowiec, każdej linii, każdą tonnę jego pojemności... Floty wojenne Europy, Stanów, Japonii. Wojna z Chinami. Bogactwa mineralne...

— A co powiesz, drogi panie, jeżeli ktoś kiedyś weźmie i kupi cały kanał? Kupi ze wszystkim: ze wszystkimi towarzyszącymi okolicznościami, z całym inwentarzem przewrotów, wojen i mineralów?

— Jakto, kupi?

— Zapłaci i weźmie. Kogo zechce, przepuści, a kogo zechce, zawróci do domu?

— Mówimy o niepodobieństwie. Przecie rząd Stanów nie dopuści do tego nigdy.

— Rząd będzie kupiony.

— Wybuchnie straszliwa rewolucja?

— Tę łatwo uspokoją ludzie zapłaceni przezemnie.

— Najszanowniejszy pan raczy żartować. Żart kolosalny... Nie liczy się pan jednak z wojnami, które by musiały wybuchnąć na całym świecie...

— No, więc co? Wojny — mało ich już było! Pół świata trzymałoby moją stronę...

— Shurman! Kupuj zaraz — teraz będzie taniej, niż po otwarciu! Ha... ha!...

— Ha... ha... ha!... Niech to już zrobi mój syn.

— Ha... ha... ha... — chichotał w zachwycie uczony, bijąc się po chudych kolanach.

Henneway najprzejmiej odprowadził gościa aż do przedpokoju. Obaj byli bardzo poważni.

— Odwiedzę cię w tych dniach. Ale, Shurman, nie będziesz ze mna

gadał o rzeczach niemiłych. Ja chcę spokoju. Dostyc się sam dręcę. Teraz wiesz? Do widzenia. Nieprawdaż, co za głowa ten Hebrard? Co za zdumiewająca erudycja i pamięć!

— Miły człowiek. Jeden z tych głuptasów, co to zupełnie bezinteresownie tańcują przed naszym ołtarzem. Erudycję ma olbrzymią, ale i wodę w głowie. Wszystkie jego cyfry pływają w wodzie. Daruj mi, stary, że nie umiem po tutejszemu, po francusku... Jakim byłem, takim jestem.

Rozmowa ta wprawiła go w dziwne, nader rzadkie u niego, podniecenie. Tom Shurman, powracając do domu marzył. Nigdy nie wyczuwał tak potężnie własnych sił. Myśl, zda się, chwyciła w locie glob ziemski, wirujący w przestrzeniach, wraz z całym odmetem spraw ludzkich, i nadawała mu swój własny pęd, ciskała nim, kędy zechciała.

Jakże był pewny ostatecznego zwycięstwa! Jego idea, jego cel stały się tak oczywiste, że zdumiał się, iż dotychczas nigdzie nie spotkał człowieka, który by przyszedł do tego samego przekonania.

— Tacy, jak ja, być muszą! Gdzieś oni są. Tają się jeszcze, zbierają siły — kiedyś się wynurzą. Wówczas połączy nas święte sprzyśiężenie. Nie ja, to Harry będzie im głową.

I szedł przez pokrętnie ulice miasta dumny i szczęśliwy swoją bychą, jak król. W zamyśleniu, chcąc sobie skrócić drogę, zbłądził. Prnął, chcąc się wydostać o własnych siłach, ale nie mogąc sobie poradzić, chciał już zawołać na fiakra, kiedy w jakiejś marniej uliczce dojrzał ogromny, niezmiernie dziwny tłum ludzi.

Stali bez ruchu wśród ciszy sfornowani po czterech w szeregu. Całą ulicę zajął ich nieprzejrzany

zastęp. Na czele, u wejścia do jakiejś bramy, tkwiło paru policyantów ze znużonymi minami. Tłum stał znieruchomiał w karności. Już zdążyła biła od nich ciężka ponurość.

Dopiero mijając ich i poglądając w zmizerowane i zdziczałe twarze, widząc nędzny nad wyraz przyodziewek, zrozumiał Shurman, kędy trafił. Mijał ich z wolna, przyglądając się ciekawie.

Stali młodzi, starzy, wyrostki, kobiety z dziećmi. Stały całe rodziny, od starego do niemowlęcia, pilnując się szeregu, przestępując z nogi na nogę i dygocąc z zimna. Wszysey snać oddawna na coś ważnego czekają. Czekają cierpliwie, gotowi stać tu jeszcze długie godziny, ale już sił nie mają. Wielu trzyma w ręku węzełki — cały majątek. Czekają ludzie zdeptani przez długie psie życie i martwymi oczyma patrzą przed siebie, nic nie widząc. Inni ciskają złe, jadowite spojrzenia na przechodzącego pana. Ci patrzą, jakby prosząc miłosierdzia, tamci z wyuzdaną bezczelnością. Są tacy, co pamiętają lepsze czasy, a których fala rzuciła aż w ten zaułek startych na proch w bezlitosnych żarnach Paryża. Są tacy, którzy nie zaznali nic, prócz nędzy. Przemknęli się skośnie, figlarne, zbójcekie spojrzenie chwilowo wykolejonego apasza, który urwi sobie ze wszystkiego, bo wie, że jutro będzie inaczej. Twarze tragicznie piękne, pospolite, pijackie, skażone wszelkim brudem, ohydne...

Ku końcowi zastępu spotkał się Shurman ze spojrzeniem, przed którym wzdrygnął się, jak przed widmem. Jakieś niezmiernie nieszczęście patrzyło w niego głęboko i badawczo. Czyjeś madre, cierpiące oczy nakazywały mu odgadywać dziwną swoją tajemnicę.

Ogarnął go niewytłomaczony, dolegliwy niepokój. Shurman nie wzruszał się łatwo i nie miał serca dla ludzkiej nędzy. Dla niego były to jedynie ludzkie odpadki, śmiecie życia, które należało tepić i uprztać bez miłosierdzia. Ale to spojrzenie

rozdrażniło go do tego stopnia, że sam nie wiedząc, dlaczego, wrócił się i, wyszukawszy w szeregu owego nędzarza, kiwnął na niego.

— Idź! Idź! — zaszeptano wokół i towarzysze zrobili mu miejsce do przejścia. Ale człowiek wahał się i nie wychodził. Siłą wypchnięto go prawie. Shurman rozpiął futro i sięgnął do kieszeni, wyjął dwie sztuki dwudziestofrankowe i — zdrewniał.

Zadźwięczało złoto po bruku.

— Czego... Czego chcesz?... Po coś tu do nas przyszedł? Oj, źle, oj, jak zimno... Zimno, Shurman...

Głos brzmiał głucho, jak z grobu. Śmiertelne, ostateczne wyczerpanie wyryło głębokie bruzdy na tej nieszczęsnej twarzy. Jak z głębi pieczar, świeciły zapadłe, zgorączkowane oczy.

Tom Shurman dygotał, jak w febrze. Stańco przed nim widmo. Szyderstwo losu wyszczerzyło ku niemu zęby, jak trupia czaszka. W momencie marzenia, rozognionego wielkością, kiedy tworzył nową rasę królów świata, musiał napotkać na swojej drodze ten obraz bezceńnej poniewierki, życia straszny przykład choroby wieku. Oto jeden z tych, z których ma się urodzić król świata...

Stał przed nim przyodziany w lachmany i drżał z zimna, chwycając się z głodu, potentat nowojorski, Binnegau.

Przed dwoma laty znikł bez śladu, opuściwszy swoje kopalnie, banki, trusty. Już zapomniał o nim świat cały. Nie ustały tylko mozolne poszukiwania spadkobierców, spieszących się stwierdzić legalnie jego zgon i zagarnąć olbrzymia fortunę.

A tymczasem tam, za oceanem, pracują na niego tysiące ludzi, dla niego dwiema fabryki, dla niego, bezdomnego nędzarza, składają się w skarbcach bankowych codziennie nowe warstwy złota.

— Binnegau! Jesteś warwatem i pójdiesz ze mną. Będzie ci pilnować, bo hańbisz nas wszystkich. Gardzę tobą! Wiesz? Brzydzą się z tobą mówić...

— Puść mnie. Nie jestem warwatem. Robię, co chce. Shurman, nie męcz ty mnie! Jestem głodny, trzy noce nie spałem, nie mam siły się opierać... Puść mnie! Ja tak wolę. Zaden z was nie zrozumie...

— Milcz! Nie mów do mnie! Cuchnie mi twoja filozofia czy tam pokuta!

Nędzarze, czekający na wydanie kart noclegowych i na miske zupy, złamali szeregi i obstąpili ich wokół. Zjawili się policjanci. Wśród zgiełku, krzyku, śmiechów i pogwaru zdumienia, pytań i domysłów Shurman przemocą wraz z policjantami wsadził nędzarza do fiakra i pojechali.

— Co chcesz ze mną zrobić?... Jęknął bezsilnie Binnegau.

— Wiozę cię do Henneway. Znasz go przecie. To filantrop! Jemu

cię oddam. Porozumiecie się bez trudu, boście obaj trupy.

— Shurman, na głowę twego syna... Zaklinam się, puść ty mnie...

— Nie gadaj do mnie! Pogadasz z przyjacielem monarchów — to twój rodzony brat, jednaka jest wasza nędza!

Rozdział XIII.

Zmierch zapadał nad miastem. Jeszcze na krańcu widnokregu paliła się ciemną purpurą łuna i rzucała krwawe odbłaski na fantastycznie poróżwione obłoki, na pasma dymów.

Ze szczytu wzgórza Montmartre'u, ze stopni bazyliki Sacré Coeur, panującej nad miastem swoją białą, wysmukłą kopułą, otwierał się nieogarniony, wolny widok na dalekie przestrzenie nieba i ziemi.

Jaśniało niebo ostatnią resztą dnia. Jeszcze się różowiły brzegi chmur od zachodu.

Ale od miasta już biła ciemność, jak od nieprzejrzanego morza czarnych wód.

Oko zaledwie dostrzegało mętne zarysy rozproszonych wież kościelnych, wyrastające ponad jednolity, martwy ogrom zabudowanej przestrzeni. Na krańcu, na tle nieba czerniał ze swojego wzgórza wyniosły Panteon, jak ostry, skalny szczyt. Gęsty opar unosił się nad miastem i powoli, stopniowo gasił kształt po kształcie, zmieniał zarysy przedmiotów, rozwieszał nad wszystkim swoją zasłonę.

I, zda się, usnęło miasto. Nie dobiegał stamtąd żaden odświat, żaden szmer. Ucichło zmodowane długim dniem mrowisko ludzkie. Pokój snu rozpostarł nad wszystkim swoją kojącą zasłonę. Każdemu dał zapomnienie.

I w duszy Niemego, który stał zapatrzony w ten obraz, zaczęło się uścielać jakby ukojenie. Zapadło w ciemność, zgasło widmo Paryża, które od tylu lat, zawsze i niezmiennie, za każdym razem, kiedy je tylko oglądał, budziło w nim nieprzepartą nienawiść i szaloną żądzą zemsty.

Uczucie to znał w sobie i hodował je. Mierząc świat w niestannych swoich wędrówkach, tęsknił za Paryżem, ocierał się o niego po drodze, zapadał tu bodaj na parę miesięcy i w chwilach wolnych od pracy z zapamiętaniem, nieomal z rozkoszą poił się trucizną Paryża.

Chodził po mieście, po jego murach, kościołach i zabytkach, był wszędzie. Pod kopułą Inwalidów zaglądał do grobowca Napoleona, stał długie godziny przed murem kolumnarów na Père-Lachaise, pośrodku ruchu i zgiełku placu Bastylli szukał na wyrównanej przestrzeni zarysu dawnej twierdzy, jej baszt i murów, obalonych przez rewolucję. Pod portykiem giełdy wśluchiwał się w obłąkane wrzaski tysiąca zachrańców, wydzierających sobie łup. Czekał wieczorną porą przed gmachem Crédit Lyonnais, aż się zaczernią i

zatłoczą ulicę tysiące robotników, idących od pracy — od przesypania bogactwa w kolosalnym śpichrzu złota.

Płynął wraz z tłumem przez świetne ulice, chłonał w siebie obrazy bogactwa, zbytku i rozpasania, odurzając się gorączką ludzkiego wiru, chwytając każdy jego głos, jęk i szeptanie.

Jeszcze niedawnymi czasy zdarzały się w nim momenty wahania między nienawiścią a uwielbieniem, między żądzą zniszczenia a żądzą posiadania. Nigdzie indziej, jeno tu, w strasznym mieście, przychodziły owe chwile zatrucia.

Znał potworny, gruby przepych stolic nowego świata, bijący w oczy blask pałaców i urągające przechodniom, niezmierne wystawy klejnotów, rzeczy drogich, mało dla kogo dostępnych. Nieraz czekał w tłumie gawiedzi, odgradzonej kordonem policyantów, przed wjazdem do jakiegoś pałacu i patrzył na królów świata, zjeżdżających się na bal do jednego ze swoich. W oknie samochodu lub karety przesuwały się ich twarze, przesuwały się barwy błękitnych strojów kobiecych, czasami spotkał się oczami ze spojrzaniem, które, jak robaka, miażdżyły go spokojem swojej pogardy.

I wszędzie na szerokim świecie, tak, jak i tu, z ulicy jeno, jako przechodzień, widział przelotne, błyskawiczne odbłaski bogactwa. A jednak dopiero w Paryżu stawał przed nim demon pokusy i trwożył jego duszę zatwardziałą w nienawiści, zdziechałą w samotnym przeżywaniu jednej jedynej, wyłącznej idei.

Walczył mężnie ze złym urokiem, wzywał go. Szukał go tam, gdzie był on najpotężniejszy. Tygodniami głodził się, oszczędzał, aż zebrał tyle, ile było trzeba na krzesło w Operze na jakieś wyjątkowe „gala“ przedstawienie. Szorował się zawzięcie z pyłu pracy, urękawiczniał urobione na czarno ręce, ubierał się w wynajęte fracydło i zasiadał narówni z innymi, zlewał się z tłumem.

Długo zbierał siły i odwagę, zanim spojrzał. Nieraz przebrzmiała uvertura, mijął pierwszy akt, a on siedział odurzony, nawpół przytomny, nie zważając zupełnie na to, co się działo na scenie — nie po to tutaj przychodził...

Dreszczem rozkoszy i zgrozy zdejmował go szmer i pogwar, płynący ku niemu ze wszystkich stron od olbrzymiego kołiska łóż. Stawał się jakby ogniskiem, w którym skupiały się: spojrzenia, szesty, barwy strojów, połyski klejnotów, upajające zapachy i ów pałacy, szatański oddech bogactwa.

Kobieta, pani świata, przepiękna, przyozdobiona wszystkim, co ziemia wydała i co człowiek wymyślił dla spotęgowania rozkoszy... Migocą na ramionach, we włosach, na palcach dyamenty, szmaragdy i niewiadomo jakie jeszcze kamienie,

jedne świetniejsze od drugich... I niczem są te skarby wobec nadkrólewskiej korony, którą każda nosi na swej głowie, wobec stygmatu bogactwa — korony dumy.

Deptała go ta dumna, wyniosła obojętność, przerażeniem zdejmowała go zimne spojrzenia cudnych oczu. Technienie tego nieludzkiego piękna maciło w nim wszelką pewność siebie, w jednej chwili przekreślało całe jego istnienie, oddane niepodzielnie walce.

On, który znał do głębi twarde, ponure życie, gdzie jeno ciężka praca a wieczna krzywda, uginał się pod okrucieństwem niezwalzonego uroku.

A kiedy na mgnienie oka spotkały się jego spojrzenia z chłodem i wzdargą tej właśnie najprzecudniejszej, jedynej na świecie, piekielnej i nazawsze nieznanym — stawał się niewolnikiem i czuł w sobie — duszę niewolnika. Wypełzały: bezgraniczna cześć dla bogów ziemi i ubóstwienie potęgi. Zapalała się żądza bogactwa.

Przygasaly światła, nodnosiła się zasłona i zaczynało się misteryum złudzenia. Słodkie dźwięki muzyki krajały mu duszę. Do wtóru pieśni miłosnej, na tle czarodziejstwa sceny szarpał się ze sobą, wyteżeniem wszelkich sił dusi i obalał w sobie wroga. Powalony wstawał, rzucał się na niego i zmagali się dalej.

A kiedy widownia stawała znowu w ogniu światel, podnosił się, obracał się twarzą ku wrogowi i nieustraszonym, szyderczym spojrzeniem wodził po łozach. Znowu żyła w nim spokojna i pewna siebie nienawiść. Znowu — ponad obłąkaną, przelotną żądzą bogactwa — unosiło się olbrzymie i odurzające, jak dym, potworne marzenie o zniszczeniu wszelkiego bogactwa, o wytepieniu ostatnich bogów na ziemi.

Patrzył ze swojej wyżyny na ciemne, zasnułe oparem morze siedzib ludzkich i szeptał do siebie. Mówił głosem upartym i zawziętym wyrazy starego swego pacierza, rzeczy głęboko tajone. Jak maniak, jak waryat, opowiadał samemu sobie własne dzieje. Słał swoje szeptanie w bezmiar miasta, jak złowrogą moc mające przekleństwo.

Zmrok w dole kłębił i przelewał się. Ożyło coś w sennem mieście. Nieudolnie, ledwo — ledwo nieciły się tu i tam wśród ciemności mętne technienia. Przebijało się poprzez dym jakby słabe, przygasające zarzewie. Ciemność dusiła te odblaski, zdmuchiwała drobne, nikle światelka, rozlewała się od brzegu do brzegu i powracała znowu falą, zatapiając uparte ogniki.

Aż wytrysły zaraz w wielu miejscach potężne światła. Poznały się wyraźnie i już nie znikały ich gromady. Słyły tu, słyły tam, kreśląc się i przecinając nawzajem, całe sznury światel, zawisały, zda się, w powietrzu ich fantastyczne girlandy.

Na krańcach, na wyżynach, blisko, daleko, wszędzie, paliły się zaledwie dostrzegalne, niezliczone roje drobnych, jak pył, gwiazdeczek, migotliwych, mieniących się, płochliwych.

A pośrodku w dole już gorzało ponurym, stłumionym płomieniem olbrzymie ognisko. Jak od dalekiego pożaru zza gór, zza lasów, buchała od niego i biła w niebo czerwona luna.

Czarno-purpurowa chmura stała nad pożarem, zdawała się zaglądać w płonąca czeluść. Kreśliły się tam jakby żarem płynące, głębokie bruzdy i wawozy. Strome brzegi kryły tajemne życie ich dna. Tylko głuchy, ciężki czyjś oddech dobywał się, jak z pod ziemi, i przyplływał z oddala fala za falą, jak głos niestrudzonego morza.

Patrząc w to miejsce, oczy Niemego zaświeciły się w ciemnościach, jak wilcze ślepią.

Tam, u zbiegu siedmiu najświetniejszych ulic, na placu Opery, w potokach światel wrzało o tej porze i huczało głucho niemilkające, niezmordowane rojowisko ludzkie. Jedyne na ziemi...

Nie mogły się przedrzeć przez siebie tłumy, nie mogła się zmieścić na całej szerokości ulicy nawała ładownych zaprzęgów, omnibusów, samochodów. Wszystkim się spieszyło. Tworzyły się zatory z wozów. Ludzie, czekający na wolne przejście, zbijali się natychmiast w tłum, który rósł w oczach, przybywał niewiadomo skąd, zalewał ulicę.

DCN.

Hall Caine.

Dana od Boga.

Przekład z angielskiego H. J. P.

21

Powieść w 3-ch tomach.

Rozdział XLVIII.

Przybyliśmy do Ellanu następnego dnia przed wieczorem. Była to pełnia wakacyjnego sezonu i cała wyspa gorzała od światel.

Dwa samochody czekały nas na molo; w chwilę potem pędziliśmy przez Blackwaters, wśród tłumów, krążących bezcelowo po głównych ulicach miasteczka.

Droga wiodła przez kamienny most, a potem po skłonie wzgórza, z którego rozciągał się widok na morze. Po jakiejś pół godzinie zatrzymaliśmy się przed wielką bramą, której potężne słupy chyliły się ciężko ku upadkowi.

Palacz pierwszego samochodu zsiadł i otworzył bramę, a gdy ta zatrzasnęła się za nami, wjechaliśmy w bardzo stromą aleję wjazdów, wśród których wrony czyniły ogłuszający wrzask.

— No, moją drogą, jesteście nareszcie w domu i oby ci to wyszło na dobre — rzekł mój mąż.

Nie odpowiedziałam nic na tę uprzejmą apostrofę, lecz Alma poczęła rozplływać się w zachwytach.

— Ach, więc to jest Zamek Raa! Cóż to za cudna, starożytna siedziba! — wołała, gdy jechaliśmy przez park, i wychylała się co chwila, by dojrzeć pierwszą szerokie, zamkowe tarasy, z których kręte drożyny spadały, wiodąc het, ku morzu.

Co do mnie, siedziałam w milczeniu. Nigdy chyba młoda kobieta nie dojeżdżała z większą obojętnością do domu swego męża. Dostrzegłam jednak stan ogólnego zaniechania, ciężący nad wszystkim, dookoła. W parku tu i owdzie leżały drzewa, widocznie powalone przez burzę, i gnily sobie swobodnie wśród

pozarastanych chwastem uliczek i polanek.

Zamek sam był to ogromny, mnóstwem wieżyczek zjeżony budynek, obrośnięty bluszczem, który, widocznie od szeregu lat nie podcinany, zwieszał się długimi girlandami ze ścian, nadając całemu domostwu pozór omszonej, morskiej skały, sterczącej na wyniosłości.

Gdy nasz samochód zajechał, sapiąc, przed wielkie drzwi wchodowe, cała służba i część dzierżawców, pod przewodnictwem dawnego opiekuna mego męża, wysypała się na nasze powitanie; wysła też i lady Margaret Anselm, zawsze wyniosła i sztywna w obejściu, choć dla mnie dosyć uprzejma.

Mój mąż kłaniał się wszystkim; przedstawił Alnę ciotce, jako „jedną z dawnych koleżanek Mary“, poczem weszliśmy do środka.

Wnętrze domu odpowiadało jego zewnętrznemu otoczeniu pod względem zaniedbania i upadku. Na wykładanych drzewem ścianach wielkiego kwadratowego hallu wisiały żarzewia i pogięte zbroje; na posadzce tu i owdzie stała woda, która widocznie ściekła tu przez dziurawy, szklany dach, padało bowiem dnia tego.

W salonie u okien wisiały spłowiałe draperye; spłowiały aksamit okrywał sztywne kanapy i krzesła; spłowiałe dywany leżały na posadzce; spłowiałe ekrany zasłaniały poszczerbione marmury kominków.

W jadalni, również wyłożonej buazeri, wisiały dokoła owalne portrety męskich O'Neill'ów, począwszy od protoplastów rodu, którzy byli lordami Ellanu, a kończąc na owym lordzie Raa, który skłął moja babkę na gościńcu.

Co do mnie, doznałam wrażenia, że w zamku tym od stu lat chyba nie siedziała kobieta przy domowym ognisku i wogóle atmosfera, panująca tu, tchnęła jakby wspomnieniem tych czasów, kiedy szlachetni lordowie, chroniąc się na tę wyspę przed długami, spędzali dnie na granii w karty, a noce na wychylaniu piwarów ku czci bezimiennych piękności, pozostawionych „w mieście“.

Wszyscy oni byli już dziś próchnem, takiem, jak to, które się sypało ze ściennych buazeri; ale echa ich wesołych hulanek zdawały się drzemać po kątach, a kiedy szła na górę po szerokich dębowych schodach, miałam wrażenie, że te trzeszczą jeszcze pod ich pijackimi krokami.

Mój apartament, do którego zaprowadziła mnie lady Margaret, znajdował się na południowej stronie i składał się z sypialni o ścianach obciągniętych pstrym cyncem i buduaru z kamiennym balkonem, z którego schodziło się na ogrodowy taras.

Po drugiej stronie korytarza były takie same dwa pokoje. Myślałam zrazu, że zajmować je będzie mój mąż, lecz powiedziano mi, że przeznaczono je dla gości.

Zostawszy sama, zdjęłam okrycie i wyszłam na balkon, i tam, wsparta o kamienną balustradę, wsłuchiwałam się w daleki szum morza i szelest liści nad moją głową; wkrótce jednak doleciało mnie sapanie samochodu, w którym, gdy się ukazał na zakręcie alei, zobaczyłam ciotkę Brygidę i Betsy.

Zesłałam więc do salonu, by je przywitać.

— Otóż i ona! — zawołała ciotka Brygida z udaną radością.

— Ale jaka błada i jak schudła! — rzekła Betsy.

— Et! pleciesz!... to w porządku rzeczy — odparła ciotka, mrugnawszy znacząco lewym okiem, poczem zaczęła zaraz mówić, że jeżeli narazie będzie mi trochę obco na nowem gospodarstwie, to Betsy chętnie dotrzyma mi towarzystwa.

Zanim zdążyłam odpowiedzieć, wszedł mój mąż, a za nim Alma, którą znów przedstawiono, jako „dawną koleżankę Mary“, a podczas, gdy Betsy rozmawiała z nią, zaś mój mąż z lady Margaret, ciotka Brygida zwróciła się do mnie, szepcząc:

— Cóż, jesteś w takim stanie?... Nie? No, to się dopiero ojciec zmarł!

I znowu trzeci samochód zajechał przed dom, a Betsy, stojąc przy oknie, zawołała:

— Wuj Daniel z panem Curphy i z Nesy!

— Oczywiście, z Nesy! — rzekła ciotka Brygida zgryźliwie i znowu zaczęła szeptać mi na ucho, że ta „niewdzięczna pasierbica“ stała się dla niej prawdziwym wężem, wyhodowanym na lonie.

Gdy nowoprzybyli weszli do salonu, zauważyłam, że Nesy ubrana była z jakąś specjalną staropanieńską zalotnością, że prawnik mego ojca bardziej, niż kiedykolwiek, podobnym był do ugotowanego karpia i że tylko mój ojciec nie się nie zmienił; miał ten sam ciężki chód, ten sam donośny głos i tę samą burzliwą wesołość.

— Jesteście tedy! To i dobrze! Radzi, że na koniec w domu, co? Zdrowi i weseli, co?... Ależ tak!... Trzymam się jakoś, trzymam!

Podczas tych wszystkich powitań zauważyłam, że Alma przyglądała się memu ojcu z miną rozbażwionej wyższości, dopóki nie spotkała się z władnym spojrzeniem jego oczu, którym nikt na świecie nie mógł się oprzeć.

Po pewnej chwili ojciec mój zwrócił się wprost do mnie:

— No, i jakże tam, moja panno? — rzekł, kładąc mi dłoń na ramionach. — Zadałaś szyku w Egipcie, he?... Bo pieniądze płynęły, jak woda. Ale to nie! O to niech cię głowa nie boli!

Wszczęła się ogólna rozmowa o naszych podróżach, o tem, co się dzieje na wyspie (przyczem pan Curphy zauważył ze znaczącym uśmiechem i spojrzeniem w moim kie-

runku, że ojcu powodzi się tak świetnie, iż jeżeli dalej tak wszystkie jego plany rozwijać się będą, to nie będzie potrzebował czekać na potomka, żeby zostać „niekoronowanym królem Ellanu“) i wreszcie o Jurku Conradzie, którego sława echem i do jego rodzimych miejsc doszła.

— Nadzwyczajne! Nadzwyczajne! — rzekł mój ojciec. — Nigdy bym w to nie uwierzył. Taki sobie chłopaczyna bez grosza przy duszy! A teraz, słysząc, ludzie powierzają mu pięćdziesiąt tysięcy funtów ni z tego, ni z owego.

— Ha! wielu jest powołanych, ale mało wybranych — zaśmiał się znowu pan Curphy.

W tem miejscu ciotka Brygida wyraziła życzenie zwiedzenia domu, gdyż już jest późno i muszą wkrótce wracać.

Poszliśmy więc wszyscy pod przewodnictwem lady Margaret, a ja, choć mi wcale nie było wesoło na duszy, musiałam się jednak uśmiechać, widząc, jak ciotka Brygida czuła się wręcz przytłoczona temi zabytkami dawnej świetności i jak zwłaszcza, znalazłszy się w sali portretowej, mówiła szeptem, jakgdyby to było jakieś sanktuarium.

Mój ojciec natomiast nie sobie z tego wszystkiego nie robił i widział tylko wyglądającą z każdego kąta ruinę.

— Jeżeli tak dalej pójdzie, zięciu, — rzekł, zwracając się do mego męża, który widocznie nadrabiał miną — to wkrótce rozpadnie ci się ta chałupa. Muszę tu przystać mego architekta, niech tu z tem zrobi porządek.

Poczem, wzięwszy mnie na bok i zniżając, jak umiał, najbardziej swój donośny głos, rzekł:

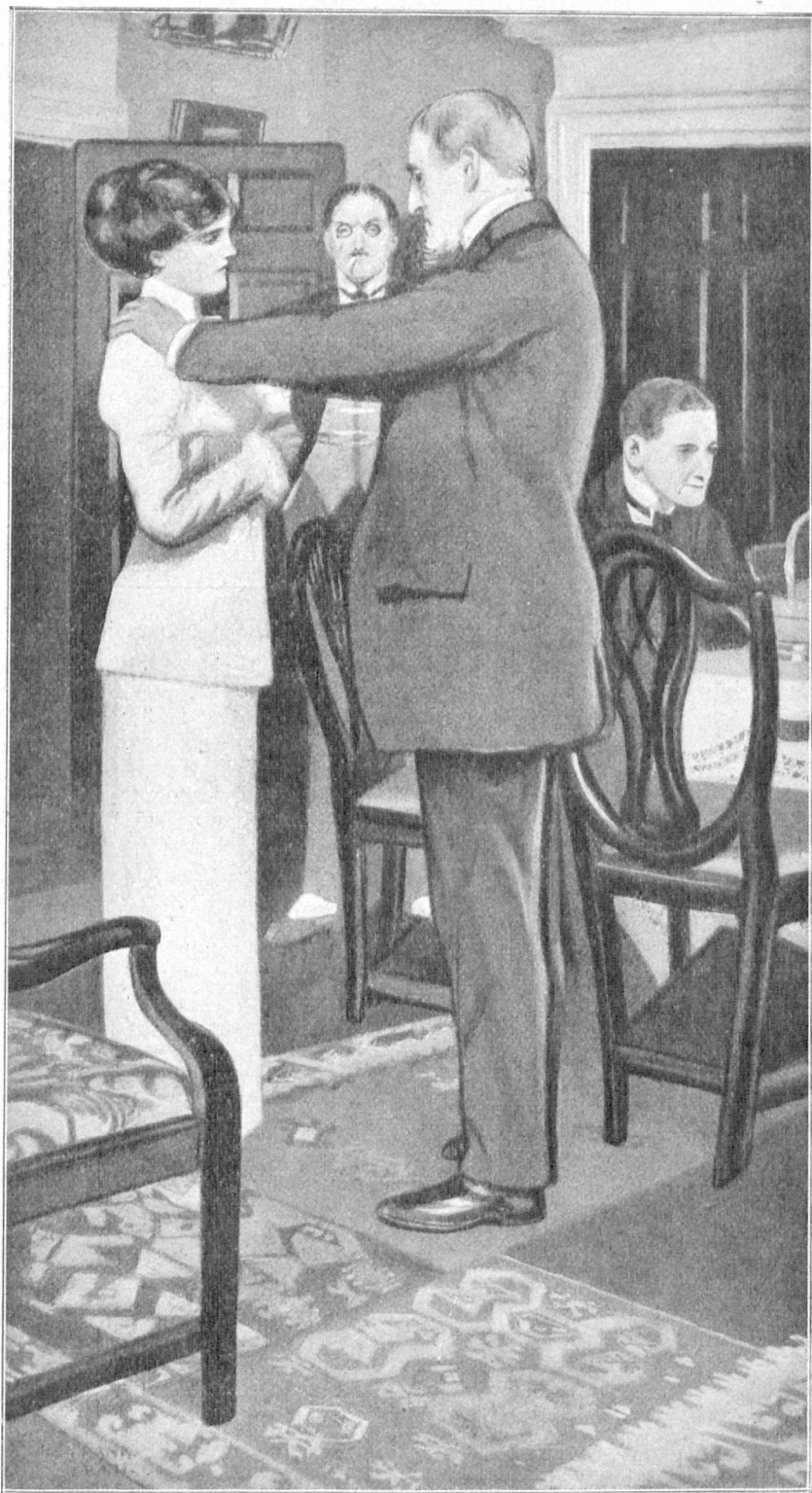
— Cóż to mi ciotka Brygida mówi? Dziewięć miesięcy po ślubie i jeszcze nic? Tak nie idzie, moja panno, tak nie idzie!

Chciałam wyperswadować ojcu, by nie wkładał pieniędzy w Zamek Raa, jeżeli by miał to czynić w oczekiwaniu dziedzica, ale słowa wzięły mi w gardle i zaczęłam bełkotać coś bez związku; ojciec zaś przypatrywał mi się bacznie, poczem wybuchnął śmiechem:

— Widzę! widzę! — rzekł. — Doktora ci potrzeba. Muszę ci przysłać Conrada, żeby cię obejrzał. Wszystko będzie dobrze, moja panno, wszystko będzie dobrze. Twoja matka była taka sama przed twojem urodzeniem.

Gdyśmy wrócili do hallu, Betsy zbliżyła się do mnie, mówiąc, iż zdumiona jest wielce, że pan Eastcliff ożenił się i że słyszała od mojej „koleżanki“, że mamy mieć gości, więc ma nadzieję, iż o niej nie zapomnę.

Zaś ciotka Brygida, która spoglądała ponuro na Alnę, zagadnęła mnie o nią, chcąc wiedzieć, kto ona taka i skąd się wzięła. Objaśniłam, nadrabiając również miną, tylko z in-



...No i jakże tam moja panno? — rzekł ojciec kładąc mi ręce na ramionach —
Zadałaś szysku w Egipcie?...

nego, niż mój mąż, powodu, że istotnie, znamy się z klasztornych czasów i że to jest córka bardzo bogatego nowojorskiego bankiera. Ciotka Brygida rozpoznała oblicze i rzekła:

— No tak, to co innego. Zaraz widać, że to nie jakaś tam pierwszorzędniejsza.

Gdy całe towarzystwo usadowiło się już w samochodach, mój ojciec, rozejrzawszy się dokoła, rzekł:

— Strasznie ten ogród zaniedbany, zięciu. Muszę przysłać Tommy Majtkę, żeby to trochę doprowadził do porządku. No, jazda.

W chwilę potem już ich nie było, a ja patrzyłam tęsknie za nimi. Bóg widzi, jak mało rodzicielskim domem był mi dom mego ojca, a jednak w tej chwili rwałam się do niego, jak dziecko pozostawione na pensyi.

I cóż zyskałam na tej ucieczce z Londynu? Nic zgoła. Moja beznaziejna miłość przysłała tu za mną.

A teraz byłam samą zupełnie.

Rozdział XLIX.

Nazajutrz lady Margaret przysłała pożegnać się ze mną, mówiąc, że przybyła do Raa, tylko, aby mnie

przyjąć, a teraz musi wracać do siebie, do Londynu.

Przykro mi się zrobiło, bo polubiłam ją bardzo, i gdy, stojąc przed wchodowymi drzwiami, patrzyłam za uwożącym ją na południowy parowiec samochodem w towarzystwie mego męża, czułam, że tracę jedyną życzliwą i opiekuńczą duszę.

Alma natomiast była widocznie uradowana z jej odjazdu.

W parę dni potem, stosownie do polecenia mego ojca, przyjechał doktor Conrad. Powitałam go z ogromną radością.

Oczywiście, zaczęliśmy przede wszystkim rozmawiać o Jurku. Do niósł już rodzicom o swoim zamierzonym przyjeździe i matka od rana do nocy krzątała się, przewracając cały dom do góry nogami, jakgdyby chodziło o przyjęcie jakiegoś udzielonego księcia.

— No, a jakże my się miewamy? — zapytał doktor. — Nieszczęśliwie, co? Nudności? Nie? Ból głowy i osłabienie? Nie?

Po kilku jeszcze podobnych zapytaniach, poczciwy doktor nie wiedział już, co ma o tem wszystkim myśleć; ja zaś, nie chcąc go trzymać dłużej w niepewności, powiedziałam mu, że fizycznie nie mi nie jest, lecz, że od pierwszej chwili mego zamążpójścia byłam i jestem nieszczęśliwa.

— Rozumiem, rozumiem — rzekł — Dusza twoja jest chora, nie ciało.

— Tak.

— Pomówię z ojcem Danem, — odpowiedział. — Bóg z tobą, moje dziecko.

Wkrótce po jego odejściu przysłała Alma, przesadnie czuła i słodka, mówiąc, iż doktor zaopiniował, że cierpię na nerwowe wyczerpanie i potrzebuję wielkiego spokoju i unikania przykrości.

— To też pomyślałam sobie, że poki tu jestem, mogłabym cię wyręczać w gospodarstwie... zająć się służbą... Nie, nie, nie odmawiaj mi tego... będzie to dla mnie największą przyjemnością... Więc rzecz ułożona? Prawda? Ach! ty najmilsze, kochane stworzenie!

Czułam się tak przygnębiona, że narazie wszystko mi było obojętne: po paru dniach jednak spostrzegłam, że Alma istotnie obięła rzady domu i rozdościera się, jak u siebie.

Dogadzało to tym ze służby, którzy coś na tem zyskać mogli — w szczególności gospodyni — bo Alma była bardzo szczodra z cudzego, i pieniądze mego męża, ściśle mówiąc, mego ojca, płynęły, jak woda, ale moja pokojówka patrzyła na to krzywym okiem.

— Ładna służba, niema co mówić — rzekła wreszcie. — Pani do mu nie miesza się do niczego, a gość rządzi, jak szara gęś. Wkrótce ona tu i po samej pani jeździć będzie; wspomni mylady moje słowo.

Może w tydzień po naszym przyjeździe do Raa Price weszła do

mego pokoju z oznajmieniem, że jakiś ksiądz jest na dole i pyta o mnie.

Domyśliłam się, że to musi być Ojciec Dan; zbiegłam więc ze schodów i zastałam go w hallu, w tej samej workowatej sutannie (a przynajmniej tak mi się wydało), jaką nosił za moich dziecinnych lat, i z tą samą podróżną torbą, z jaką mnie odwiózł do Rzymu. Stał i naprzecmiانى ocierał czoło i otrzepywał buty czerwona, kraciastą chustką, bo dzień był gorący, a drogi pełne kurzu.

Ucieszyliśmy się sobie wzajemnie, poczem zaprosiłam go na górę na herbatę, dodając, że musi koniecznie zanocować, na co przystał chętnie, z zastrzeżeniem, „jeżeli to nie sprawi kłopotu i subiekcyi“.

Odebrałam mu więc torbę i oddałam jednej z dziewcząt służebnych, zalecając, by zniosła ją do gościnnego pokoju obok mnie i podała natychmiast herbatę do mego buduaru.

Lecz zaledwie zasiedliśmy tam wygodnie, gdy dziewczyna zastukała z oznajmieniem, że gospodyni pragnie ze mną pomówić. Wysłam na korytarz i zastałam ją czekającą z miną bardzo pewną siebie.

— Za pozwoleniem, myłady, — rzekła — ale Jego Wielebność nie będzie mógł zanocować.

— A to dlaczego? — zapytałam.

— Bo *Pani* (to miało oznaczać Alnę) kazała przygotować wszystkie pokoje dla gości, a ten właśnie przeznaczony jest dla państwa Eastcliff i nie wiemy, jak prędko oni przyjadą.

Czułam, że się czerwienię po same białka oczu na takie zuchwalstwo, zwłaszcza, że Alma stała na schodach, nadsłuchując. Zwróciłam się więc dumnie do gospodyni i rzekłam ostro:

— Proszę przygotować natychmiast pokój dla Jego Wielebności i pamiętać na przyszłość, że ja tu jestem panią domu i tylko moje rozkazy mają znaczenie.

Powiedziawszy to, wróciłam do buduaru, czując na sobie ponure oczy Almy i rozumiejąc, że jest to rachunek, którego mściwość jej nie omieszka przy pierwszej sposobności załatwić; nie domyśliłam się tylko, że ona tej sposobności czekać nie będzie i sama ją wywoła.

Tymczasem przyniesiono nam herbatę. Nalałam Ojciec Danowi i zaczęliśmy rozmawiać najprzód o Jurku, który był zawsze ulubieńcem zacnego kapłana, i którego powodzenie radoowało teraz i napełniało dumą złote serce staruszka; poczem przeszliśmy do poufnych spraw.

— Doktor Conrad wspominał mi coś, że nie czujesz się bardzo szczęśliwa, moje dziecko, — rzekł Ojciec Dan. — Powiedz mi wszystko, jak na spowiedzi, a jeżeli będę ci mógł w czem dopomóc...

Nie czekając dalszej zachęty, padłam na kolana i otworzyłam przed nim całą moją znekana duszę.



... No, a jakże się miewamy? — zapytał doktor — Nieszczęśliwie? Co? Nudności? Nie?

Powiedziałam mu, że moje małżeństwo zgotowało mi największe rozgoryczenie i zawód; że ta uświęcająca łaska, jaką sakrament naszego związku miał na nas sprowadzić, nie przysłała; że nie tylko nie pokochałam mego męża, ale że mąż mój pokochał inną kobietę i żyje z nią pod tym samym dachem.

Ojciec Dan zmartwił się okropnie. Kilkakrotnie podczas mego opowiadania zęgnął się, szepcząc: „Boże Wszchemogący, zmiłuj się nad nami“, wreszcie gdy skończyła, zaczął czynić sobie gorzkie wyrzuty, mówiąc, że wszystko to było jego winą, że powinien był wiedzieć, iż nasz kochany chłopiec (czyli Jurk) nie byłby napisał tych strasznych listów, gdyby nie był przekonany o ich prawdziwości, i że on, Ojciec Dan, nie powinien był dopuścić do tego małżeństwa.

— Ale strzeż się, moje dziecko, — dodał. — Nie powiedziałem nikomu o układzie, jaki zawarliśmy z twoim mężem; nie uważaj jednak tego za powód do zerwania twego małżeństwa.

— Ale kiedy ja już nie mogę wytrzymać! Nie mogę! — zawołałam.

— Cyt! cyt! Nie mów tak, moja córko. Pomyśl, iż jest to jeden z krzyżów życiowych, który dźwigać należy. Ileż to nieszczęśliwych kobiet musi znosić choroby i nędzę, nie mówiąc o pijaństwie i śmierci swoich mężów? Czyż dlatego miałyby się uchylać od swoich obowiązków, targać święte ogniwa małżeństwa? Nie, moje dziecko, nie; i ty tego nie uczynisz. Przyjdzie dzień, że wszystko to na dobre się obróci. Zobaczysz, że przyjdzie! A tymczasem, przez pamięć matki, tej świętej, którą Pan przyjął do chwały Swojej...

— Więc cóż mam czynić?

— Módl się, moje dziecko, módl o siłę do znoszenia utrapień i zwalczania pokus. Odmawiaj co rano najczęściej różaniec do Najświętszej Pan-

ny. I ja go też odmawiać będę. Przekonasz się, że Bóg doświadcza cię przez miłość dla ciebie i błogosławić będziesz Jego świętą wolę.

Gdy mój ukochany, stary przyjaciel krzepił mnie w ten sposób, usłyszałam na korytarzu gniewny głos mego męża, i nim zdołałam powstać z kłęczek, on sam otworzył gwałtownie drzwi i wpadł do pokoju.

Był śmiertelnie blady, z oczami obłąkańca.

— Mary! — krzyknął, patrząc na moją schyloną postać. — Kto ci pozwolił wprowadzać księdza do mego domu? Czy niedość, że mam za żonę katoliczkę, żeby mi tu jeszcze wasi księża snuli się, jak zmory?

Byłam tak oszołomiona tą wściekłą napaścią, że narazie słowa wymówić nie mogłam; lecz Ojciec Dan wystąpił w mojej obronie, mówiąc z budującym spokojem i cierpliwością, że przybył niespodziewanie i że ofiarowałam mu nocleg ze względu na jego starość i daleką drogę na probostwo.

— Jestem bardzo obowiązany Waszej Wielebności — rzekł mój mąż, trzesąc się z gniewu — ale moja żona potrafi doskonale odpowiedzieć sama za siebie; a co się tyczy probostwa, to byłoby lepiej, żebyś ksiądz był tam pozostał, a nie szwendał się, gdzie cię nie proszą.

— Azali nie mierzysz mnie pan własnym łokciem, mylordzie? — rzekł Ojciec Dan.

Na to mąż mój wybuchnął niepolahamowaną złością:

— Wszyscy wiedzą, co to za ptaszki te papieskie klechy! — wykrzyknął. — Przewrotne świętoszki, lubiące łowiąc ryby w mętnej wodzie. Tak czy owak, nie żyćcie sobie, żeby mi tu ktoś wciskał się do mego domu i bruździł pomiędzy mną a moją żoną.

DCN.

